ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE

Pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego.

we ŚRODĘ
D. 29 Czerwca.
1825.

Nr: 26

Varietas delectat.

I.

WIECZÓR SWIĘTO-JAŃSKI.

Posłuszny zwyczaiowi i ciekawości poszedłem i ia nad Wisłę w wigilią S. Jana. Nieżałuię bynaymniéy téy wieczornéy przechadzki; bo mnóstwo niezliczone ludzi, rozmaitego stanu i płci, w iednem zebrane mieyscu, w żywym obrazie przypominiało zimową maskaradę, któréy to zabawie iak wiadomo Czytelnikom, Rozmaitości cześć winną niegdyś oddały... A lubo sala mostowa zbyt iest wązka i niewygodna... lubo niema żyrandolów i co chwila w mieyscu ciekawych masek, przesuwali się węglarze z wozami, czarnym towarem napełnionymi; i lubo snuli się żydzi naturalni, otwarci i zamaskowani.. śpieszący po dziennych trudach i zabiegach z Warszawy na Pragę; i inne figury różno barwne w wozach, koczach, ciągle płoszyły ściśnione grupy wystroionych widzów płci oboiéy, iednakże mówiąc bezstronnie dosyć wesoło było na moście. A gdyby iesżcze przyszło na myśl iakiemu spekulantowi, wystawić w dniu tym nad Wisłą, namiot z chłodnikami i napoiami, w którymby osadzona była porządna muzyka, wieczor Sto Jański, mógłby po części przypomnieć Bielany, o ileby różność położenia mieysca, przypomnieniu temu sprzyiała. Lękam się powtarzania tylekroć wyrzeczonych iuż uwag przez autorów, którzy zaymowali się opisywaniem wielkiego zgromadzenia ludzi w iednem mieyscu: bo i cożbym wreszcie nowego powiedział? Oto chyba (zaczynaiąc od mężczyzn) że wielka ich liczba przyszła w celu przypatrzenia się iak naywiększey liczbie pięknych kobiet, i t. d. Że wielka część pięknych i niepięknych, młodych i podeszłych kobiet, zaięta była nietyle Wisłą i wspomnieniami starożytnéy Sławiańskiéy pamiątki, iak innemi przedmiotami. — Że w tak wielkim tłumie ludzi możnaby odkryć nadzwyczaynie pocieszną *rozmaitość* pod względem moralnym, rozmaite sposoby widzenia i czucia; że mógłby nawet iaki Dostrzegacz nadwiślański, nie bez słusznych powodów, zastosować znaną myśl *Krasickiego*, którą ten Poeta wyrzekł opuszczaiąc Warszawę. „*Gdzie to zwyczaynie iak w mieście*" etc. Ale niech nas Bóg uchowa od wszelkiéy Satyry... zwłaszcza w opisie tak niewinney zabawy, która ma źródło swoie w głębokiéy starożytności Sławiańskiéy. Raczeyby tu wypadało ożywić się duchem historyczno-badawczym i zgłębić nayodleglejsze czasy przedchrześciiańskiéy Sławiańszczyzny, kiedy obrzędy i zabawy w dniu tym odbywane składały część religii walecznych oyców naszych. Lecz odstępuiąc wykonania tego zamiaru innym poważnieyszym pismom, zaymiemy się innym niemniéy ważnym przedmiotem, bo częścią poetyczną, która iest główną podstawą obrzędu w dniu tym zachowanego. I w rzeczy saméy: Cóż może być poetycznieyszego, nad miłość... a rzucanie wianków na wodę i pytanie się rzeki o

przyszłość nayważnieyszą dla dziewczyny, czyliż niemá związku z tém szlachetném uczuciem otoczoném całym urokiem słodkich marzeń rozkołysanéy wyobraźni, a zatém, czyliż nie iest poezyą? i czyli nie unosi człowieka, obdarzonego żywszą imaginacyą w przyiemne krainy duman? Tak iest bez wątpienia: wianek porwany przez spienione nurty Wisły, iest wielkim dla Poety bodźcem; i widok ten może i powinien go natchnąć do słodkich i uroczystych pieni, miłości i troskom dziewiczéy młodości poświęconym. Zostawiwszy więc Poetów przy pieniach i dumaniach na moście, spuśćmy się na wspaniałą powierzchnią kryształów wiślanych, zstąpmy do krążących łódek i czółen naieżonych wiosłami, napełnionych drużyną wesołych chłopców, którzy chciwi pływaiącéy zdobyczy, spełniaiąc wesołą igraszkę, staią się nieraz przyczyną smutku i zmartwienia rzucaiącéy wianek. — Oto upadł wianek z zapalonym stoczkiem: patrzmy: szczęśliwie płynie, ieszcze go niedostrzegła swywolna psotników pływaiących rzesza. Patrzmy iak troskliwym i niespokóynym wzrokiem pogląda na ten kwiecisty uplot, w którym zawarła naydroższe nadzieie; z którego szuka pomyślnéy wróżby dla siebie. Już się znacznie na środek rzeki odsunął: niewidać dotąd żadnego wroga... Ale cóż to, wzburzony wir wody porwał wianek i po silném zakręceniu ponurzył go do dna. — Stroskana dziewico! smutna to iakaś przepowiednia przyszłości twoiéy. Troski i niepokoie, za urzą młodość twoię — i może w dzień twóy godowy, z czarnéy chmury wyleci piorun nieszczęścia, który cię odepchnie od świętych ołtarzów, gdzie miałaś wieczną miłemu zaprzysiądz wiarę.... Ale nietroszcz się — patrz, oto wypłynął twóy wianek. Spienione nurty, nieśmiały ci téy krzywdy wyrządzać. Łzy twoie ukrywane przed ciekawych tłumem, zmiękczyły wiry wiślane; ale nie zmiękczą psotników, — którzy chciwi zdobycia twego wianka... patrz, z iakim zapałem, z iaką zuchwałością, przeciwko wody nawet, silnemi wiosły, pchną łódź swoię. — Jeszcze chwila, a już twóy wianek, stanie się łupem nieubłaganego żeglarza. Jeszcze chwila... Już go porwano! Teraz nadobna dziewico! dumay nad twoią przyszłością — teraz czyń wróżbę o doli swoiéy. — Zaięty podobnemi widokami, i pogrążony w tych dumaniach niepostrzegłem, że iuż słońce zaszło. Pomrok wieczorny zaciemnił horyzont; — Tłumy ciekawych widzów, coraz się bardziéy rozrzadzać zaczęły — ia iednak nie opuściłem brzegów Wisły. Powodowany ciekawością i iakiémś taynèm przeczuciem, wsiadłem na łódź i udałem się do rzeszy chłopców, dumnych z odniesionych w dniu tym tryumfów. Chciałem widzieć wszystkie złapane wianki — Chętnie mi ie pokazali — i po krótkim targu stałem się ich właścicielem. Jeden z żeglarzy odniósł ie do mego mieszkania. Zacząłem przeglądać; bawić się ich robotą — lecz iakież było moie zadziwienie, kiedy w kilku z nich postrzegłem papierki skręcone, całe zapisane. Lubo papier mocno przemokł, po wysuszeniu zdołałem iednak przeczytać. Znaczna się zebrała kollekcya tych wynurzeń — są nawet niektóre wiersze. Rzetelnie się zabawiłem tém odkryciem; i w Numerach przyszłych Rozmaitości udzielę Czytelnikom niektóre z tych wodno-miłośnych meteorów...

II.

RYSY CHARAKTERYSTYCZNE INDYAN.

(Dokończenie.)

Pułkownik *Brown* opowiadał o Indyanach następuiącą anegdotę; która istotnie wydarzyła się w roku 1819. — Pewien Francuz będąc z Indyanami w stosunkach handlowych i opatruiąc ich zawsze we wszystkie potrzebne towary, przywiózł iednego razu pomiędzy innemi znaczną ilość prochu; lecz gdy Indyanie w tym czasie właśnie od obcych kupców niemały iuż zapas prochu nabyli, rozkupiwszy więc inne towary, prochu brać niechcieli, ażeby zbywaiące im produkta na zaspokoienie innych potrzeb obrócić. — Francuz przedawszy wszystko oprócz tego iednego

artykułu, używał wszelkich sposobów chytrości i podstępu, ażeby Indyan do kupna nakłonić, lecz zawsze bezskutecznie; szczęściem, ciekawość iednego Indyana, przychylną podała mu sposobność, którą francuz zręcznie na swoią korzyść obrócić potrafił. Jak też pytał się Indyanin kupca, Europeyczycy proch robią? — Oto sieią go odpowie kupiec, iak u was tytuń, przenicę i t. p. — z kilku funtów wysianego prochu bywaią czasem obfite zbiory. Indyanie uradowani niezmiernie odkryciem tak ważnego sekretu, nieśli na wyścigi Europeyczykowi w zamian za proch skórki bobrowe. Tym więc fortelem wyprzedawszy Francuz proch po naydroższéy cenie, umknął iak mógł nayrychley. Indyanie zaś starali się pod te nowe nasienie usposobić naylepszą ziemię; wyciąwszy i wykorczowawszy znaczną przestrzeń lasu, uprawili starannie nowinę, a potem zasiali na niéy proch podług instrukcyi którą im dał Francuz; lecz żeby zasiew ochronić od szkody przez dzikie zwierza lub konie wydarzyć się mogącey, ogrodzili mocnym płotem pola swoie. Z niecierpliwością oczekiwali aż nasienie zeydzie, codzień prawie zwiedzali pole, ale z czasem błąd swóy poznali, a widząc zawiedzione nadzieie któremi się karmili, niewątpili iuż wcale o podeyściu Francuza.

Zebrani wszyscy, uradzili oczekiwać sposobnéy pory by zemścić się swéy krzywdy, a trzeba wiedzieć, iż obrażony Indyanin nietylko swego przeciwnika i iego krewnych, lecz nawet ziomków nienawidzi i obrazy swéy na nich wetuie. — Nie długo po tym zdarzeniu przybył inny Francuz z różnemi towarami do téy osady, a uzyskawszy pozwolenie sprzedawania swych towarów, otworzył kram z niemi. — Wszyscy Indyanie zbiegli się razem obeyrzeć towary, każdy z tych co przez pierwszego Francuza był oszukanym, wpadł teraz na kram tego nieboraka i zabierał mu tyle towaru ile sądził że mu się należeć może do wynagrodzenia za poniesioną przez siebie stratę. Biedny Francuz straciwszy tym sposobem w iednéy chwili cały swóy maiątek iaki posiadał, skarżył się przed naczelnikiem i żądał zadosyću-czynienia; lecz ten odpowiedział mu z powagą i dał uroczyste zapewnienie, iż hoynie za swoią stratę wynagrodzonym zostanie, ale czekać musi żniwa, z zasianego przez nich prochu.

Indyanie z pokolenia Szawani, które niedaleko Rogerstown nad rzeką Missuri w krainie Meramek ma swoie siedziby, udali się z różnemi towarami, iako to: futrami, zwierzyną, szynkami, i t. p. ku przylądkowi Zyrardo, dla zamienienia takowych u kramarzy na inne potrzebne im rzeczy.

W podobnych zdarzeniach Indianyn całą pracę wkłada na swoią żonę; ona pakuie towary na konie, w braku zaś takowych, sama z dziećmi dźwigać ie musi.

Jeden z znacznieyszych myśliwych téy kompanii, obarczył swoią żonę i córkę ciężarem futer, których na koniach pomieścić nie można było; a sam z strzelbą na plecach szedł koło nich, nie czyniąc im żadnéy ulgi w niesieniu. Gdy ci Indianie do osad Europeyskich przybyli i swe towary powymieniali, pozwolili sobie za nadto trunków mocnych; tak oyciec iak i matka owego dziewczęcia pili nad miarę. Oyciec upiwszy się mocno, niemogąc ścierpieć piianéy żony, zaczął ią bić, tak iż ta uciekła od niego, a chroniąc się, nieznalazłszy nigdzie bezpiecznego przytułku, weszła do domu gdzie także wódkę sprzedawano; właśnie pod ten czas przybyło kilku swawolnéy młodzieży do téy saméy szynkowni, zaczęli się naigrawać z matki i z iéy córki, a widząc że ta pierwsza była nieco napiłą, traktowali obydwie wódką, ażeby upoić ie, i do tego stopnia doprowadzić, iżby tańczyły i śpiewały, oraz krzyki boiowe im właściwe, wydawały. — Matka niebawnie upiła się zupełnie, córki zaś, ani nalegania, ani prożby skłonić nie mogły, iżby choć kroplę wódki do ust swoich wzięła. Niechciała ona ani na chwilę odstąpić swéy nieszczęśliwéy matki, i tyle miała rozwagi, że poznała na iakie urąganie wystawieni byli wszyscy iéy piiani towarzysze, którzy przypatruiących się im próżniaków i oszustów z niemi kupczących, dzikiemi

)2(

i głupiemi gestami swemi, oraz głośnym krzykiem bawili.

Pokolenie o którym tu mowa, mieszka w krainie gdzie Europeyczycy także swoie osady maią; Indyanie ci maią domy przytém podostatkiem bydła, uprawiaią rolę i mniéy nawykli do trudów, iak pokolenia, których sposób życia więcéy iest do natury zbliżonym. Utracili oni swobody swego wolnego, wesołego i zdrowego życia, a nabyli mnóstwo chorób, skutek przeięcia wszystkiego złego z uobyczaionego życia wypływaiącego.

Gdy matka téy biednéy dziewczyny podobnie iak i iéy towarzysze stała się przedmiotem pośmiewiska; a piiany Indianin w istocie na samo spoyrzenie iest odrażaiącym; niechcieli więcéy kramarze mieć znimi do czynienia, kazali im szukać dla siebie gdzie indziéy przytułku, i wyprosili ich z kramów swoich. Kobietom inne ieszcze groziło nieszczęście, zabłąkały się konie, których dozór do nich należał, należało przeto spodziewać się plag od swych mężów, gdyby ci wytrzeźwieli nim się konie znaydą. I przy téy okazyi dała młoda Indyanka dowody nayczulszego przywiązania do swéy matki.— Nieco późniéy przyięła ona imię *Małgorzaty Surgett*, a Towarzystwo pobożnych w Kentuky oddało ią do szkoły, gdzie w pożytecznych naukach i kobiecych robotach wielkie zrobiła postępy.

Jéy nieszczęśliwe położenie, da się więcéy uczuć aniżeli opisać, gdy wystawiemy sobie na co się narażała; musiała biedna zostawić swą matkę samą w czasie przykrey zimney nocy wśród lasu, niedaleko od mieysca, gdzie iey oyciec z swoiemi towarzyszami pić nieprzestawał; a sama poszła szukać spłoszonych koni. — Znalazłszy takowe, przyprowadziła ie swoemu oycu, sama zaś udała się zaraz po wschodzie słońca na mieysce gdzie swą matkę zostawiła. — Gdy się to działo powstała burza z ulewą, przez którą w téy porze roku okoliczne strumienia raptem wzbieraią. Wylew wody przedzielał tą razą matkę od córki, która przez bystry potok wody przebyć nie mogła. Trzeba sobie wyobrazić smutne téy dobréy dziewczyny położenie, niemniéy iéy o rodziców swoich troskliwość, ażeby poiąć i dzielić z nią tę rozpacz iakiéy się wtenczas oddawała.

Padła też ona ofiarą swego poświęcenia się i przywiązania do rodziców, bo niesłychane usiłowania i trudy, mocne w niéy zburzenie sprawiły, a raptowne przeziembnienie, sprowadziło suchoty, na które naydaléy w rok po tém zdarzeniu żyć przestała.

Autor widział ią na kilka tygodni przed iéy śmiercią w okolicy Rogersthown. — Człowiek nieumieiętny, który się lekami bawił, radził iéy aby uzbierane przez niego zioła i korzonki w wódce piła; odpowiedziała mu złą angielszczyzną: „Biali ludzie chcą potruć biednych Indyanów; wódka iest przyczyną nieszczęść mych współrodaków, wódka przyprowadza o śmierć biedną Małgosię; a oyciec i matka nie będą mieli pomocy od nikogo, iak Małgosia umrze.” — Śmierć iéy była poruszaiącą, z ostatniém tchnieniem na to tylko ubolewała, że zostawia rodziców swoich bez pomocy.

III.

WSKRZESZONA.

(z Niemieckego)

Co tylko przepych i bogactwo nastręczyć mogą, tego wszystkiego nieszczędzono na weselnym obrzędzie Xiążęcia *St. Hubert*, z Hrabianką *Bertą W....* — Oddawna niewidziano w stolicy tak świetnego festynu; a lubo zbytek we wszystkiem panować zdawał się, brakowało iednak téy powszechnéy wesołości, która duszą wszystkich biesiad bydź zwykła. — Wprawdzie szanowny oyciec Hrabianki, starał się ile możności rozweselić obecnych, ale smutne kiedy niekiedy spoyrzenia iego, na wiszące po ścianach portrety przodków swoich, ciche westchnienia i częste zamyślanie się, od których mimowolnie wstrzymać się nie był w stanie, tamowały skutek dobrych iego chęci. Sama nawet córka iego, piękna dzisieyszego festynu Królowa, zdawała się

bydź mniéy baczną na wesoły humor obok niéy siedzącego kochanka, skoro przyiazne lecz smutne spoyrzenia oyca, czasami na nią zwrócone zostały. Wiedziała ona bardzo dobrze, że stary Hrabia W. nie mógł się ieszcze oswoić z myślą, iż córka iego szła za Xiążęcia obcéy krainy. —

Niebo odmówiło mu potomka płci męzkiéy, i tém to oddawna mocno był zmartwiony. — Uspokoił się iednak powoli, tem więcéy gdy daleki, lecz iednego z nim imienia krewny, młodzieniec pełen rozsądku, męztwa i piękności, o posiadanie ręki *Berty* ubiegał się.

Berta była mu równie przychylną, a Hrabia W. połączenie ich uważał iuż za rzecz nieomylną. — Tymczasem woyna sprowadziła w dom iego Pułkownika *St. Hubert*. — Hrabia W. nie pomyślał nawet nigdy, ażeby *Berta*, słabowitego i iuż nie w pierwszéy porze młodości będącego Francuza, z przystoynym i pełnym życia *Erykiem*, porównywać mogła. Wkrótce iednak pokazało się że *St. Hubert* odniosł nad nim pierwszeństwo.

Moie dziecko rzekł starzec ze łzami do córki, gdy mu miłość swoię wyznała, — strzeż się nierostropności; zawsze myślałem iż przychylną iesteś *Erykowi*, a teraz.....

Prawda! kochany oycze, przychylną iestem *Erykowi*, lecz *St. Hubert* posiada całą mą duszę, tak długo iak żyć będę.

Zważyłażeś *Berto* wszystko? *St. Hubert*, ile z pozoru sądzić można, nie długiém życiem cieszyćs ię iuż zapewne może.

Ta nawet zatrważaiąca myśl móy oycze, nie zachwiała moiego uczucia. Gdzie iest wiara i tak ścisłe połączenie dusz iak moiéy z iego, tam nawet śmierć przedziału stanowić nie iest w stanie.

Twoia miłość moia córko, niweczy naypięknieysze nadzieie moiego życia, niweczy iedyną pociechę moiéy starości.

O Boże! zawołała *Berta*, załamuiąc ręce a przecież ia nie mogę zapomnieć miłości *Huberta* bez utkwienia sztyletu w sercu moiém i iego!....

W tem nadszedł Xiąże, i połączył swoie prośby z prośbami *Berty*.

Niechże i tak będzie — rzekł stary Hrabia przyszedłszy nieco do siebie, oddaię ci więc rękę mego ukochanego dziecka. Wprawdzie połączenie wasze niszczy moie naychlubnieysze zamiary, lecz uważam to za dzieło niedocieczonéy Opatrzności, któréy wyrokom zawsze bez szemrania poddawałem się.

Eryk nie postał więcéy w domu Hrabiego W. od czasu, iak zaręczyny Xięcia z *Bertą* zostały ogłoszone; a kiedy hymen iuż ich połączył, on natenczas we Włoszech szukał pociechy i roztargnienia.

Xiąże opuścił służbę woyskową i osiadł w rodzinném mieście swoiéy małżonki. — Zaledwie mogła bydź większa miłość iak między nim i *Bertą* istniała, ale przez nią oboie szczęśliwemi ieszcze nie byli. — *Berta* nie była szczęśliwą, bo postrzegała smutek oyca, pochodzący z upadku iego upragnionych oczekiwań, chociaż go pokryć usiłował. *St. Hubert* nie był nim także, bo *Berta* niezdołała przed nader czułym iego umysłem, ukryć tych zmartwień, kóre pełen nadziei kwiat iéy życia, od dnia do dnia niszczyły.

Bez wątpienia, lepieyby byli postąpili doktorzy, uwiadamiaiąc Xiążęcia o niebespieczeństwie, którego odwrócenie nie było w ich mocy. Zamiast tego iednak, wtenczas nawet, kiedy iuż *Berta* była bliską ostatniego tchnienia, powodowani błędną gorliwoscią, utrzymywali zawsze w nadziei tak oyca iak męża, twierdząc że ieszcze uratowaną bydź może. Ona sama nawet, nie miała dość siły i odwagi aby uprzedzić męża, że bliski swóy zgon iuż przeczuwała.

Był to przerażaiący widok, gdy *Berta* straciła iuż przytomność, a *St. Hubert* z całą dzielnością swoiéy namiętności, zaklinał ią, aby na chwilę ieszcze do niego wróciła. Zaledwie skonała, musiano oddalić doktorów, bo rozpacz iego groziła morderczym na nich napadem.

Stary Hrabia W. został teraz iedyną pociechą zmartwionego małżonka. O móy Oycze! — rzekł do niego w dniu pogrzebu *St. Hubert* — często słyszałem mówiących, że szczere i wzaiemne przyrzeczenia powrotu po zgonie, czynione za życia mię-

dzy osobami, które się prawdziwie kochały, bywaią niekiedy wysłuchane, i że cień tego co pierwszy do wieczności się przeniósł, wraca z czasami na ziemię i obiawia się temu, którego za życia kochał.— Dobrodzieystwa tego pozbawili mnie doktorzy, taiąc do ostatniéy chwili niebespieczeństwo, bo gdy przyrzeczenie takie od *Berty* uzyskać chciałem, iuż ona natenczas przytomność straciła.

Kochany synu, odpowiedział Hrabia, wprawdzie i mnie opowiadano podobne zdarzenia o zmarłych, którym gorąca miłość wyiednać miała powrót do pozostałych przy życiu, a którzy przybycie swoie zwiastowali wyrzeczeniem pewnego wyrazu, trąceniem w strony i odgłosem iakiego instrumentu, lub też istotném pokazaniem się w postaci cienia. Jeżeli duchowi *Berty* wolno będzie powrócić, pewnym bydź możesz że i bez poprzedniego przyrzeczenia przybędzie; lecz ieśli to iest niepodobieństwem? O!.... to przynaymniéy zachowaymy w pamięci ukochaną, a duch iéy niech w duszach naszych żyie.

Z rozczuleniem przycisnął starzec do siebie drżącego *St. Huberta,* a wspólne do iednego przedmiotu przywiązanie, połączyło się w obfitym łez potoku.

Tymczasem zgromadził się pogrzebowy orszak. Zebrawszy swe siły, weszli obydwa do pokoiu gdzie leżała *Berta,* aby ią ostatni raz oglądać. Czarno wybite ściany i blask iarzących świateł, czyniły wprawdzie twarz iéy bladszą ieszcze, ale nie zmnieyszały téy zachwycaiącéy łagodności, która *Bercie* w ciągu całego iéy życia towarzyszyła. Widok uymuiącego chociaż wybladłego iéy lica, i ślubnéy sukni, w któréy stosownie do życzenia pochowaną bydź miała, sprawiły na Xiążęciu tak wielkie wrażenie, że padł bez przytomności obok katafalku; a nim zdołał przyiść cokolwiek do siebie, wieko trumny, odięło mu na zawsze widok ubóstwianéy.

Skoro cichy i ponury, blaskiem tylko pochodni oświecony orszak pogrzebowy, stanął na cmentarzu u familiynego grobu Hrabiów W., *St. Hubert* pogrążony w naywiększey rozpaczy, napełniał powietrze swém narzekaniem, i musiano użyć przemocy, dla oderwania go od trumny, z którą razem do grobu wstąpić usiłował.

Kapelan nadworny, mąż światły i wiekiem swoim poważny, którego sama nawet powierzchowność zaufanie wzbudzała, miał stosowną mowę, która szczególniéy *St. Hubertowi* wielką ulgę przyniosła. —

Chęć oglądania straconéy małżonki, o któréy *St. Hubert* zapomnieć niemógł, stała się powodem odnowienia niespokoyności iego; razu iednego widząc idącego do przyległego zwierzyńca czcigodnego kapelana, pospieszył zanim. Złączyli się wkrótce. Rano ieszcze było i zwierzyniec samotny, zdawał się bydź niejako drugim światem; przyiemna zieloność, oświecona blaskiém złotych promieni wschodzącego słońca, a przytém owa życzliwa uprzeymość z iaką sędziwy kapłan *St. Huberta* przywitał, były prawdziwym balsamem pociechy dla strapionego. — Przechadzali się obydwa w odległéy alei, a rozsądne i do przekonania trafiaiące wyrazy, słowa na które *St. Hubert* całą swą uwagę zwrócił, oddaliły na chwilę, z umysłu iego bolesne wspomnienia. Tym czasém ogród zaczął się napełniać. *St. Hubert,* dla którego teraz samotność była ulubioną, chciał właśnie opuścić to mieysce zgiełku, gdy niespodzianie i iak gdyby z iakiegoś przeczucia, całą iego uwagę zaiął przechodzący w ten moment iakiś nieznaiomy. Z ubioru i postaci zdawało się iż był Włochem, spoyrzał on tak dzikiém i tak przerażaiącém okiem na Xiążęcia, iż ten zatrzymał się, i długo za nim poglądał.

Cóż ci iest Hubercie? zapytał duchowny. — Alboż móy oycze, nieuważałeś iakim wzrokiém ten przechodzący cudzoziemiec na mnie spoyrzał? Nie lubię awantur, lecz kiedy komu tym sposobem bywaią narzucane....

Narzucane? tego bym nie myślał, odpowiedział kapelan z uprzeymością. Niepewność takiego spoyrzenia różnie da się tłomaczyć; ale dla czegoż uważać go ko-

miecznie za wyzwanie? — Przypuśćmy że ten nieznaiomy doznawszy naprzykład iakim sposobém podobnego iak ty zmartwienia, chciał także sam i odosobniony tu w tém znaydować sie mieyscu, a tém czasém nas zastał? — Prawdę mówisz rzekł *St. Hubert;* ale dla tego oko iego mimowolnie szukało Włocha, lecz nadaremnie.

Dnia następnego *St. Hubert* stoiąc w oknie, postrzegł znowu przechodzącego ulicą człowieka, którego widok nieznane na nim wrażenie i pewną niespokoyność sprawił; był to ten sam włoch. — Podobnie iak wczoray w ogrodzie, rzucił na Xcia dzikiem i ponurém weyrzeniém, odwrócił się z widocznym wstrętem i udał do pobliskiéy oberzy.

St. Hubert każe sobie natychmiast podać swóy mundur który dawno w zapomnieniu iuż leżał, ubiera się, a wychodząc oświadcza służącym, że dzisiay w domu na obiedzie niebędzie; śpieszy potém do mieysca gdzie widział że wszedł ów znaiomy, niezawiódł się zastał tam włocha.

Zaledwie dano do stołu, *St. Hubert* usiądł naprzeciwko niego, lecz on zawołał zaraz na lokaia i kazał aby nakrycie iego odniósł do pobliskiego pokoiu, dokąd niebawnie sam odszedł. Xiąże pozostał ieszcze czas nieiaki w sali, iedynie aby wrażenia na przytomnych nie sprawić, lecz późniéy udał się za włochem, który iak ten tylko wstąpił do iego pokoiu, usunął krzesła zniechęcią i powstał.

M. Panie! rzekł Xże do niego z zapałem, co WPan masz do mnie? Nic wcale odpowiedział cudzoziemiec z nayzimnieyszą krwią, niepatrząc nawet na pytaiącego się *Huberta.*

Rozumiałeś WPan, mówił daléy *St. Hubert*, że spoyrzenia iego na mnie w parku i w oknie uszły moiéy baczności?

Jeżeliś ie WPan uważał, dlaczego żeś przybyciem swoiém do mieysca gdzie nigdy niebywasz, przymusił mnie udać się do tego pokoiu, i tu mnie ieszcze spokoynym niezostawiasz?

Dla tego, rzekł Półkownik uderzaiąc w rękoieść swéy szpady, że chcę koniecznie wiedzieć co WPan masz przeciwko moiéy osobie.

Nic wcale przeciwko osobie WPana, lecz nienawidzę twarzy w któréy się boleść maluie.

Cóż go obchodzą moie zmartwienia? zapytał Półkownik.

Nic.... i właśnie dla tego niechcę o nich wiedzieć.

Dobrze! rzekł *St. Hubert* z uniesieniem, więc chodź i sprobuy, ieżeli w poiedynku uwolnić się odemnie niepotrafisz.

(*Dalszy ciąg późniéy.*)

V.

WIERSZ o BOGU.

Romualda Chrzczonowicza.

Jeszcze raz zwalczę naturę!
Co mi broni iść wysoko,
Jeszcze podniosę się w górę,
Gdzie niedosięgnie mnie oko.

Skrzydłami duszy porwany,
Aż na gwiaździstą zwierzchnicę!
Potargam ciała kaydany,
Porzucę ziemi granice!

O Ty! niemocy człowieka,
Stawiąca silne przeszkody.
Jakieś bądź słaba, kaleka
I twe przebędę przeszkody!

Gdzie złote słońca i zorza,
Gdzie srebrem sklniące Xiężyce,
Póydę, w kray światów bez końca!
Na same niebios stolice.

Póydę na Swiętych siedliska,
Zgiąć się przed Jehowy Tronem!
Póydę zobaczyć go z bliska,
I sławić go winnym tonem!

Nie, niedołężne natchnienie,
Iść mi do Oyca zaleca,
Czuię mych celów ziszczenie,
Skutek nadzieiom przyświeca.

Duch mόy z letargu się budzi;
Łabędzich wioseł dostaie,
I z zadumieniem wszech ludzi,
W powietrzne żegluię kraie.

Iużem w obłokach! świat niski;
W dole pod memi nogami!
Iużem i mieysc tych iest bliski,
Kędy on zniknie pod nami.

Moment! a stanę w krainie,
Gdzie wszystko co iest nademną;
Jak proch w powietrzu, tak zginie!
Jak świat zostanie podemną!

Ah! tak! w téy iestem stronnicy!
Lecz na cóż wyszła mi droga?
Niewidzę niebios stolicy!
Niewidzę moiego Boga!

Gdybym się podniósł i wyżéy,
Podwoił starania, trudy;
W dwóynasób niebios był bliżéy!
Tyle go uyrzę iak wprzódy.

Smiertelni! nie iest podziałem,
Patrzeć wam w Pana oblicze;
A nawet zbrodnią, zakałem,
Zwracać nań oczy zbrodnicze.

Dwór niebios, święci, wybrani!
Poią się taką słodyczą.
Nie ludzie grzechem skalani,
Co życiem z śmiercią graniczą.

Wam tylko to iest właściwém,
I to was winno ożywić:
Dążyć don życiem poczciwym,
Z dzieł GO poznawać i dziwić.

V.

BAYKA.

Motyl.

przez L. R.

Hoży i piękny Motyl, lecz trzpiot zawołany,
Po łąkach i ogrodach z szkody tylko znany;
Co wszystkie prawie kwiaty maiąc w swéy zdobyczy,
Ogołocił z piękności, pozbawił słodyczy,
Znudziwszy sobie iednym trybem pędzić życie,
Więcey zapragnął ieszcze, i w gay pobiegł skrycie.
Znalazł w krótce co szukał, w barć się wkradł szczęśliwie,
I nową się zdobyczą nasycaiąc chciwie,
Kiedy go coraz bardziey miód pociąga smaczny,
Zmoczył skrzydełka... ugnął... i zginął niebaczny.

VI.

ANEGDOTA.

Pewien Francuzki uczony, przeprawiał się przez rzekę na czółnie. Przewożący go żeglarz śpiewał robiąc wiosłem. — „Przyiacielu, a umiesz ty czytać?" zapytał się żeglarza. — „Nie, Panie." — „Szkoda! zmarnowałeś iednę część życia twoiego, i możeszli ieszcze śpiewać?" — „Dlaczego nie, do śpiewania nie potrzeba umieć czytać." To rzekłszy, śpiewał daléy. — „Ależ przyiacielu" pytał go znowu uczony: „pisać przecięż umiesz?" — „Jakże mogę pisać, kiedy czytać nie umię." — „A więc i pisać nie umiesz? znowu iednę część życia straciłeś! czy podobna, że ieszcze śpiewać możesz?" — „Do śpiewania nie potrzebuię tych nauk; na niczem mi nie zbywa i dla tego śpiewam!" — „To może przynaymniéy słyszałeś co o astronomii, mineralogii, zoologi, archeologii? są to umieiętności które nas czynią prawdziwemi ludźmi!" — „Co mi po tych wszystkich umieiętnościach, przez nie nawet o chwilę prędzéy płynąć nie potrafię." — „Przyiacielu, kiedy tego wszystkiego nie umiesz, straciłeś większą połowę życia twoiego, i ieszcze śpiewać możesz?" — W tém wiatry zaczęły mocniéy kołysać czółnem, popędziły ie ku skale, i w mgnieniu oka wodą zostawszy napełnione, tonąć zaczynało. „Umiesz Pan pływać?" zapytał się żeglarz uczonego. — „Nie miałem tyle czasu, ażeby się pływania nauczyć." — „Żałuię mocno, bo Pan w téy chwili stracisz całe życie swoie!" To mówiąc wypłynął, a uczony z mineralogią, astronomią, archeologią i zoologią — utonął.